WOJENNE WSPOMNIENIA OSTROWSKICH DZIECI

W straszne lata wojny i okupacji po raz kolejny zabierają nas autorzy wspomnień zebranych i opracowanych przez **Jadwigę Sadowską i Alinę Wierzbicką** w książce ***Wojna 1939-1945 we wspomnieniach mieszkańców Ostrowi Mazowieckiej i okolic***, wydanej w roku 2019 przez **Miejską Bibliotekę Publiczną im. Marii Dąbrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej**.

Autorami dzisiejszych relacji, są osoby, które z dramatem wojny zmierzyły się w dzieciństwie. Lat tych nie sposób nazwać szczęśliwymi, gdyż kojarzą się ze strachem, głodem, ucieczkami, tułaczką, poniewierką, widzianą z bliska śmiercią.

MIGAWKI Z WOJNY

Wspomnienia Fryderyka Bociana z Ostrowi Mazowieckiej

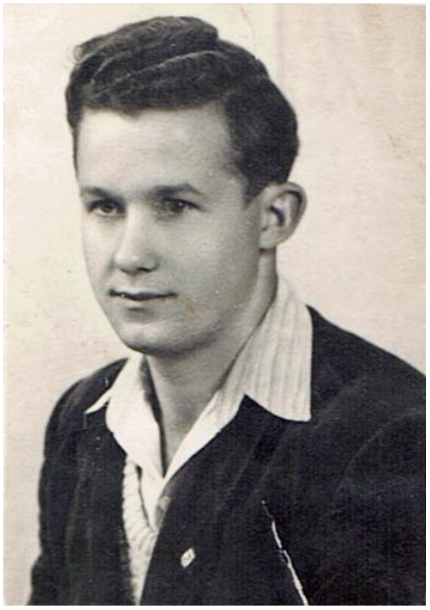

Fryderyk Bocian

W 1939 roku miałem 6 lat. Mieszkałem z rodzicami i rodzeństwem przy ul. Wileńskiej, potem przeprowadziliśmy się do centrum miasta i zamieszkaliśmy przy ul. Głównej (obecnie 3 Maja).

Pod koniec sierpnia i w początkach września w lasach koło Ostrowi, Szkoła Podchorążych Piechoty formowała rezerwowy 114 Pułk Piechoty. Dowództwo kwaterowało w hotelu mieszczącym się na pierwszym piętrze kamienicy Ludwika Mieczkowskiego. Niemcy, którzy prowadzili aktywne działania wywiadowcze na terenie Polski, byli w posiadaniu informacji dotyczących dowództwa i dyslokacji wojsk. Już 1 września nadleciał niemiecki samolot i zrzucił bomby. Pierwsza uderzyła w kamienicę Mieczkowskiego, druga spadła tuż obok na ulicę, trzecia trafiła w stojący po przeciwnej stronie ulicy drewniany budynek żydowski. Nikt nie zginął, tylko znajdująca się w hotelu pani Parzuchowska osiwiała w jednej chwili. Zniszczeniu uległo też drugie piętro kamienicy.

8 września po raz pierwszy zobaczyłem żołnierzy niemieckich. Wspiąłem się na bramę wjazdową i obserwowałem, jak jechali motocyklami główną ulicą od strony szosy różańskiej w kierunku Zambrowa. Na przedzie bocznych wózków błyszczały karabiny maszynowe. Widok ten tak mnie zaabsorbował, że spadłem i zwichnąłem rękę.

W październiku 1939 roku rozpocząłem naukę w Szkole Podstawowej Nr 1 (męskiej) przy ul. Kościuszki, której kierownikiem był pan Roman Rubinkowski. Wiosną 1940 roku szkołę wyrzucono do drewnianego domu przy ul. Brokowskiej, a w następnym roku do budynku po szkole żydowskiej przy ul. Małkińskiej. Początkowo uczyliśmy się bez zmian w

obowiązującym do tego czasu programie nauczania, wyeliminowana była tylko historia, później Niemcy narzucili podręcznik „Ster", który miał formę wydawanego co miesiąc czasopisma. Nauczyciele starali się przekazać nam więcej wiedzy, niż przewidywał program. Moim wychowawcą był pan Adam Habel, matematyki uczył mnie pan Okrzejski. Mieliśmy dużo zajęć z wychowania fizycznego. Dodatkowych lekcji udzielał mi w swoim domu ojciec kolegi Janka Kruka.

11 listopada 1939 roku Niemcy podpalili budynki żydowskie znajdujące się naprzeciwko ratusza i nie pozwalali ugasić pożaru, aż rozprzestrzenił się do kamienicy Leśniewskich i zagroził budynkom, które zajmowali Niemcy. Wszystkich Żydów zgromadzono na stadionie, potem popędzono na ul. Warszawską i tam ich rozstrzelano.

W czasie okupacji ciągle brakowało jedzenia. Otrzymywaliśmy kartki na chleb, ale przydziały były niewystarczające, zresztą ciągle je zmniejszano. Czasem chodziliśmy do Szkoły Podstawowej Nr 2, gdzie stacjonował oddział Wehrmachtu, oddawali nam, gdy coś zostało z obiadu. Podciągaliśmy się też na parapet i prosiliśmy: *Herr, bitte Brot* (panie, proszę chleba). Na ogół dostawaliśmy bochenek chleba od żołnierzy.

Niedaleko torów przebiegała granica między Generalną Gubernią a radziecką strefą okupacyjną. Od strony niemieckiej stały trzymetrowe słupy, a między nimi był rozciągnięty drut kolczasty, potem był pas neutralny ok. 40 m zawsze świeżo zbronowanej ziemi, od strony radzieckiej jeden na drugim leżały zwały drutu kolczastego. Polacy przechodzili na sowiecką stronę po żywność, a do Generalnej Guberni po naftę, mydło, sól, sacharynę i inne artykuły. Po napaści Niemiec na Związek Radziecki, granica została utrzymana.

Mój ojciec był zdunem, pracował również po stronie wschodniej w Lubotyniu, Kosewie, Sulęcinie i nielegalnie przechodził przez granicę. Czasem zabierał mnie ze sobą. Stamtąd przynosiliśmy zboże, olej, słoninę, masło, mięso (rąbankę). Trzeba było iść nocą, z ciężarem na plecach, co chwilę potykaliśmy się o korzenie lub uderzaliśmy głowami w drzewa. Latem 1943 roku ojciec stawiał piec w Lubotyniu, a ja po kilku dniach miałem do niego dołączyć. Któregoś dnia, ubrany w bluzę z niemieckiego brezentu, polem, miedzami, podszedłem pod granicę. Na prawo od szosy zambrowskiej w stronę Ugniewa było miejsce, gdzie druty były poprzecinane i ludzie przechodzili na drugą stronę. Zatrzymałem się w bezpiecznej odległości i przez jakiś czas obserwowałem okolicę, nie działo się nic niepokojącego, więc ruszyłem. Po chwili wyskoczył Niemiec z bronią i psem. Pytał mnie, dokąd idę i po co. Odpowiedziałem, że hoduję gołębie, uciekły mi i idę ich szukać. Nie uwierzył. Krzyczał i wciąż pytał, dokąd idę. Wilczur stanął na tylnych łapach, przednie oparł na moich piersiach, był większy ode mnie. Miałem tylko 10 lat, bardzo się bałem, w końcu rozpłakałem się, ale cały czas mówiłem o gołębiach. Po ok. 15 minutach puścił mnie wolno. Gdy przybiegłem do domu, przez pół godziny nie mogłem wydobyć słowa.

Latem 1942 roku, gdy rano wyszedłem z domu, na skrzyżowaniu ul. Głównej i Słowackiego zobaczyłem leżące zwłoki Karoliny – upośledzonej umysłowo kobiety, która najprawdopodobniej wyszła po godzinie policyjnej. W maju 1943 roku Niemcy zastrzelili Wiesława Waniewskiego i Franciszka Gawińskiego – byli to ojcowie moich kolegów. Ich zwłoki leżały potem na słomie przy kaplicy na cmentarzu. To był straszny widok. Kiedyś razem

z kolegami m.in. braćmi Laskowskimi i braćmi Mroczkowskimi weszliśmy na strych mojego wuja Brzostka, gdzie znalazłem pistolet. Zabrałem go do domu i ukryłem na zagraconym strychu. Był to nagan z bębenkiem, wyciągaliśmy go co kilka dni i czyściliśmy, aż któregoś dnia zginął. Bałem się powiedzieć rodzicom i dopiero po wojnie dowiedziałem się, że pistolet znalazł ojciec i oddał kuzynowi, który był żołnierzem AK.

W sierpniu 1944 roku, gdy zbliżał się front, a Niemcy zaczęli podpalać budynki, rodzice zdecydowali, że uciekamy do babci mieszkającej w Rząśniku Kolonii. Za domem babci wykopano głęboki dół, przykryto żerdziami i słomą, na wierzch nasypano piasku, wejście było niewidoczne od strony podwórka. Ukryło się tam ok. 10 osób. Było to tuż po bitwach pod Jarząbką i Pecynką (29 i 31.08.1944 r.), Niemcy w odwecie chodzili po okolicznych wioskach, wyciągali z domów mężczyzn i rozstrzeliwali. W sobotę 2 września Niemcy przyszli do naszego schronu. Ja siedziałem pierwszy od wejścia, dalej kobiety i inne dzieci. Niemiecki żołnierz wyciągnął mnie ze schronu i chciał zabrać na rozstrzelanie. Mama i inne kobiety zaczęły płakać, prosić go i całować po rękach, żeby mnie zostawił. W końcu starszy Niemiec powiedział: *Nach Hause* (do domu). Byłem uratowany. Tego dnia żołnierze Wehrmachtu spacyfikowali Lipniak-Majorat, mordując ok. 450 osób. Z Rząśnika zabrano i rozstrzelano ok. 10 osób. W niedzielę weszli Rosjanie, a my szybko wróciliśmy do domu w Ostrowi.

Spisała Alina Wierzbicka w lutym 2019 r.

OKUPACJA W KOMOROWIE

Wspomnienia Ireny Kłębek (ur. 1931), z domu Spodniewskiej, z Ostrowi Mazowieckiej

Irena Kłębek

W czasie wojny mieszkałam w miejscowości Majdan koło Komorowa wraz z rodzicami Eleonorą i Józefem Spodniewskimi oraz starszym o 5 lat bratem Mieczysławem. Obok mieszkali dziadkowie. Od koszar dzieliło nas kilkaset metrów. Gdy pod koniec sierpnia 1939 roku rozpoczęła się mobilizacja, wszyscy mówili o wojnie i w napięciu czekali na rozwój wydarzeń. W nocy, nie spaliśmy, byliśmy ubrani i przygotowani do ucieczki. Mężczyźni uciekli już wcześniej. 2 i 5 września były naloty na koszary w Komorowie. Wtedy jedna z sąsiadek powiedziała, że niedaleko jest zagubiona w lesie wieś i tam będziemy bezpieczni. Zabraliśmy trochę jedzenia i razem z innymi kobietami i dziećmi z sąsiedztwa (ok. 15-20 osób) wyruszyliśmy bocznymi drogami do Pałapusa. Na miejscu okazało się, że jest tam opuszczony duży dom, w którym wszyscy się zmieściliśmy. Po tygodniu przyszedł po nas dziadek, powiedział, że front już przeszedł i można wracać do domu. Po przebywającą w

sąsiednim domu młodą kobietę z dwójką małych dzieci przyjechał mąż – wojskowy, ale w cywilnym ubraniu. Przywiózł go furmanką jakiś krewniak ze Starego Komorowa. Wszyscy uciekinierzy ruszyli w powrotną drogę. Na przedzie jechała furmanka z rodziną oficera, pozostali szli za nimi pieszo. Po niedługim czasie usłyszałam huk. Wybuchła mina. Na miejscu zginął oficer i jego żona. Ocalały dzieci i woźnica. Zginął również koń.

W połowie października 1939 roku wznowiła nauczanie szkoła podstawowa. Już na początku zapowiedziano nam, że nie będzie historii, geografii i literatury polskiej. Języka polskiego uczyliśmy się z czasopisma „Ster". Razem ze mną do klasy chodził Ernest Bryll, późniejszy poeta, był miły i koleżeński. Wychowawczynią była pani Krajnik – żona przedwojennego oficera. Przez około trzy lata uczęszczałam też na tajne komplety zorganizowane w prywatnym domu w Starym Komorowie. Przychodziło na nie kilkanaścioro dzieci. Prowadziła je pani Krajnik, która raz w tygodniu potajemnie dawała lekcje literatury i historii Polski. Zdarzało się nam spotykać w drodze do szkoły żołnierzy niemieckich, baliśmy się, ale nigdy nas nie zaczepiali.

Niemcy zajęli koszary, w jednym z budynków utworzyli szpital dla żołnierzy Wehrmachtu i do obsługi zatrudniali Polaków. Ojciec zaczął tam pracować jako palacz. Zarabiał niewiele, ale już mieliśmy z czego się utrzymać. Czasem przynosił jedzenie, które dostawał od kucharza. Bieda była straszna, na wszystko były kartki. Na ul. Legionowej był sklep dla Polaków, w którym można było robić zakupy na kartki. W 1941 roku, po ataku Niemiec na ZSRR do Komorowa zaczęli przybywać jeńcy radzieccy. W koszarach po 18 PAL (Pułk Artylerii Lekkiej) utworzono dla nich obóz. Panowały tam straszne warunki, szerzyły się choroby, jeńcy byli głodni, brudni i zawszeni. Choć groziła za to śmierć, ludzie wykładali chleb na bruk, gdy nadchodziła kolumna jeńców. Mój brat miał już 16 lat i został przymusowo zatrudniony na terenie obozu jenieckiego, początkowo przy budowie baraków. Zaraził się tam tyfusem i długo dochodził do zdrowia. Za swoją pracę nie otrzymywał wynagrodzenia.

Na terenie Szkoły Podchorążych Piechoty w latach trzydziestych wybudowano basen. W czasie wojny nie wolno było wchodzić na teren koszar i kąpać się w basenie. Cały obszar ogrodzony siatką patrolował niemiecki żołnierz. Mimo zakazów chłopcy wślizgiwali się pod siatką lub przeskakiwali przez ogrodzenie, aby trochę popływać. 3 września 1942 roku, brat mojej koleżanki, 15-letni Zygmunt Wereszczak przeskoczył przez siatkę, wbiegł do basenu i wykąpał się. Gdy wyszedł, spostrzegł idącego w jego kierunku żołnierza. Zaczął uciekać, wskoczył już na ogrodzenie, ale w tym momencie trafiła go kula i zawisł na siatce. Żył jeszcze chwilę, zbiegli się ludzie, położono go pod dużym drzewem, potem ktoś ze wsi przyjechał furmanką i zabrał ciało. Na pogrzeb przyszło bardzo dużo ludzi, pochowano go na cmentarzu parafialnym w Ostrowi. Niemcy nie przeszkadzali w ceremonii pogrzebowej.

Spisała Alina Wierzbicka w lutym 2019 r.

Z BAŃKĄ MLEKA NA GESTAPO

Wspomnienia Marii Szwagulińskiej, z domu Sławkowskiej, z Ostrowi Mazowieckiej

W 1939 roku miałam 6 lat. Mieszkałam z rodzicami Kazimierą i Pawłem Sławkowskimi oraz braćmi Zdzisławem i Stefanem w Ostrowi przy ul. Brokowskiej, blisko browaru Teitla (dziś jest w tym miejscu Szkoła Podstawowa nr 1). Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne. W sierpniu 1939 roku ojciec został zmobilizowany i wziął udział w kampanii wrześniowej. Po miesiącu, w październiku wrócił do domu. W pierwszych dniach września, nasz sąsiad Żyd Teitel przyszedł do mojej mamy i powiedział, że z całą rodziną ewakuuje się na wschód i prosił, aby zaopiekować się jego domem. Niestety, mama również postanowiła uciekać z Ostrowi i wraz z rodziną Kuczyńskich udaliśmy się furmanką w kierunku Andrzejewa. Przez kilka dni, może tydzień, ukrywaliśmy się w polu, nocowaliśmy w stodołach, w końcu postanowiliśmy wrócić do domu i jakoś żyć dalej. W czasie wojny na wszystkie gospodarstwa rolne były nałożone kontyngenty (obowiązkowe dostawy mięsa, mleka, zboża), zwierzęta były kolczykowane. Za niedostarczenie w terminie kontyngentu groziły represje.

Po zajęciu miasta przez Niemców w browarze Teitla rozlokowało się gestapo, czyli specjalna policja polityczna. Widziałam wielokrotnie samochody przywożące aresztowanych. W kwietniu 1942 roku do naszego domu przyszedł gestapowiec przez ostrowian nazywany „Cykiem" (prawdopodobnie był to folksdojcz ze Lwowa, występujący w roli tłumacza) i nakazał, aby mleko, które oddajemy do mleczarni przynosić co drugi dzień bezpośrednio do siedziby gestapo. Mama głośno powiedziała: „ale tam są groźne psy". Cyk znany w Ostrowi ze szczególnego okrucieństwa i jak widać z „czarnego humoru", odpowiedział: „psom się przykaże". W najbliższą sobotę wysłano mnie z bańką mleka. Drzwi otworzył Cyk. Gdy weszłam na korytarz, usłyszałam stukanie w znajdujące się po przeciwległej stronie drzwi. Cyk zapytał „czego?" Zza drzwi odezwali się więźniowie: „chleba", Cyk odpowiedział, że chleb będzie we wtorek (była wówczas sobota).

Za naszym domem stała stodoła, z góry przez szpary widoczny był teren siedziby gestapo i rodzice, a także sąsiedzi obserwowali stamtąd Niemców. W Boże Narodzenie 1942 roku ojciec wrócił z podwórka do domu i powiedział do nas: „rozbierzmy choinkę, bo nie ma czego świętować". Właśnie ze stodoły widział, jak torturowano więźnia.

Jesienią 1939 roku Niemcy zebrali Żydów na skwerku przed naszym domem. Ganiali ich, szczuli psami. Niektórzy padali. Ojcu i kilku gospodarzom z sąsiedztwa nakazali przygotowanie podwód, którymi wywieziono Żydów do lasu przy drodze w kierunku Warszawy. Tam ich zabito. Żydzi musieli wykopać doły, do których ich wrzucono.

Spisała Alina Wierzbicka w grudniu 2018 r.